

Wojciech Karpiński

# Mucha

Brzęczy czy byczy – wszystko jedno. Też mi koncert! Łazi po żaluzjach. Brudzi ich biały kolor. Drażni mnie. Jeśli zatłukę ją ścierką, pomaże szybciej. Idę do łazienki. W szafce mam zapas wody toaletowej od babci i ciotek, cała półka flakonów – kanciaste, okrągłe, różne. Czasem używam ich jako odświeżaczy powietrza w samochodzie. Skrapiam tekturowe choinki i wieszam pod lusterkiem. Dyndają z tym nasączeniem. A ileż razy prosiłam moje ciotki, żeby nie kupowały więcej takich prezentów, aby zamiast nich wpłacały na hospicjum, dom dziecka czy schronisko dla zwierząt. Są okropnie uparte – nadal przynoszą: na imieniny, urodziny, pod choinkę. Cóż, nie mam wyjścia, przyjmuję i udaję, że jestem rada. Skład środków owadobójczych się zagęszcza. Jedynie matka kupowała mi prawdziwe perfumy, a nie jakieś tam wody toaletowe. Zawsze pytała, które bym chciała, choć znała moje ulubione.

Z szafki wyjmuję najostrzejszy zapach, esencja ostrości – to za sprawą spirytusu. Psikam trzy razy. Po pierwszym – mucha opada z sił, po drugim – przewraca się, trzecim pieczętuję egzekucję – leży bez ruchu. Poświęcam kawałek

papierowego ręcznika, dokładnie dwadzieścia centymetrów. Zawijam ofiarę i bezdusznie wyrzucam do kosza. Tak zrobiłaby moja matka.

\*

Dzisiaj, trochę później. Mysz w ogrodzie. Jak na mysz, to porusza się wolno. Zbyt wolno. Trudno powiedzieć, że ucieka. Powinna uciekać, przecież mysz powinna uciekać, ma to w swojej naturze. Polewam ją silnym strumieniem wody ze szlauchu. Zachłystuje się i na dłuższą chwilę traci przytomność, a kiedy ją odzyskuje, zaczyna się myć, strącając z siebie nieprzyjemne krople zimnej wody. Znowu rezygnuje z ucieczki. Staje na tylnych łapkach, a przednimi szoruje za uszami, po pyszczku i reszcie. Wynoszę ją przed ogrodzenie, umieszczam pośród jesiennych kwiatów. Jest taka mała.

Kwiaty przed ogrodzeniem posadziła moja matka. Dom odziedziczyła po mężu, a ja po niej. Ojca mało pamiętam, prawie wcale. Jedna scena jak sadi drzewo w ogrodzie, druga kiedy maluje jajka na Wielkanoc i to wszystko. Aha, może jeszcze awantura z matką w sypialni. Spałam w pokoju obok. Wtedy przykryłam głowę poduszką, żeby nie słyszeć. Gdy ją odkryłam, było cicho.

\*

Już środek tygodnia. Wychodzę na próbę. Spotykamy się w sali kameralnej. Reżyser się spóźnia. Zachowanie gwiazdy – to zespół ma na niego czekać. Rutynowo przeprasza, że nie przyszedł o czasie i jak zawsze nie wyjaśnia dlaczego. Zanim został reżyserem, był marnym aktorem w innym teatrze, też prowincjonalnym. Skorzystał z propozycji kolegi, a dyrektora naszego teatru. Teraz razem piją wódkę, obaj tego potrzebują. Podobno reżyser miał kiedyś żonę. Znalazł ją na polu ryżowym w Wietnamie. Miała jedną parę zabloconych sandałów. Zabrał ją ze sobą jak pamiątkę, próbował nauczyć naszego języka. Zamiast mówić – piszczała, taką miała urodę. Na początku wydawało się to zabawne, później mniej. Coraz bardziej irytowało reżysera i jego przyjaciół. Z czasem przestał ją zabierać na przyjęcia. Kiedy wychodził do pracy w teatrze, ona miesiącami szukała swoich krajanów. W końcu znalazła, na bazarze z ciuchami. Później uciekła do nich, bez pożegnania.

Jesteśmy w komplecie. Próba nowej sztuki. Reżyser wyjaśnia sens pierwszego aktu. Chodzimy po deskach z tekstami, w mgiełce kurzu. Odkąd pamiętam w teatrze był problem z czystością. Przy odrobinie skupienia daje się zauważyć nad sceną, bliżej sufitu, ziarenka kurzu przestrelone światłem reflektorów.

Unoszą się i opadają. Podczas spektakli musieliśmy się przyzwyczaić do chrząkania i kaszlu na widowni. Po próbie pieką mnie oczy. Zapuszczam krople. Stoją przy lustrze w garderobie, za kubkiem z kawą. Ten kubek to pamiątka z planu filmowego. Dostałam od Catherine Deneuve, a właściwie jej skubnęłam ze stolika przed przyczepą, a było to pod Paryżem. Jako studentka pojechałam do Francji na winobranie. Całkiem nieźle płacili, ale trzeba było spać w namiotach i jeść byle co i byle gdzie. W miasteczku przy sklepiku z bagietkami wisiało ogłoszenie, że szukają statystów do filmu. Zgłosiłam się. Wtedy pasowałam wyglądem do wiejskiej dziewczyny, sprzątajacej w gospodzie. W ten sposób znalazłam się na planie, blisko Catherine Deneuve.

Scenografia sztuki: sofa, dwa fotele, półka z kilkoma książkami, barek, okno, drzwi po lewej, drzwi po prawej, trzecie na wprost. W barku butelka po whisky z herbata, faszki po wódce napelnione wodą. Na ścianie czerwony telefon. Omawiamy sceny, ustawienia, przejścia, akcenty. Reżyser pokazuje jak zagrać powitanie kochanków - wychodzi komicznie. Klaudia, młoda, prawie płaska z przodu i z tyłu, smukła, z delikatnymi rysami twarzy, ale

ładna, głośno się śmieje, ma do tego prawo, bo prywatnie uprawia w soboty seks bez pruderii z reżyserem. Jeżdżą do motelu za rogatki miasta. Stale w tym samym pokoju z widokiem na śmietnik. Zespół wie o wszystkim. Przecież oczy małego miasta wędrują za jego mieszkańcami. Snują się za nimi jak cienie.

\*

Mieszkam sama, z wyboru. Mężczyźni nie są mi potrzebni. Pocą się, chrapią, zjadają tony jajecznic, gołąbków, kiszonych ogórków, kielbasy, na koniec odchodząc do kolejnej samicy. W istocie prymitywny gatunek, myślący jajami zamiast głową. Ciotki przyprowadziły mi kiedyś „kawalera”. Wyglądał jak marcowy kot, chudy i napalony, z zawodu komornik. Próbował grać subtelnego mężczyznę. Przyniósł czerwone goździki i białe wino z Biedronki. Zresztą sam je wypił. Opowiadał o eksmisjach jak o serialu obyczajowym. Bawiły go własne relacje. Ostatnia licytacja, towar z sex shopu za połowę ceny: lalki, wibratory, pompki, kulki, korki, nakładki, pierścienie. Cierpliwie słuchałam. Jak przestał gadać, to nabrał

ochoty na więcej wina, wyszedł do sklepu. Zamknęłam za nim drzwi na klucz i zgasiłam w domu wszystkie światła. Położyłam się, przykrywając głowę poduszką. Miałam nadzieję, że nie wróci, ale stało się inaczej. Dzwonił prawie przez godzinę. Aktor z naszego zespołu też kiedyś przyszedł do mnie wieczorem. Pokłócił się z żoną czy coś takiego. Szukał pocieszycielki. Typowa reakcja. Zrobiłam kolację. Posłałam mu na kanapie w gabinecie. W nocy nie mógł zasnąć, palił papierosy przy uchylonym oknie, przez które wpuścił kota z ulicy, a ten rozszarpał firanki. Nad ranem sprawdził, czy drzwi do mojej sypialni są zamknięte. Były.

\*

Zaraz jesień. Po premierze schodzimy do knajpy w budynku teatru. Impreza zamknięta. Dyrektor i reżyser zachwyce ni aplauzem widowni. Rozdają aktorom serdeczności. Na początku piją colę, później wódkę z colą, dalej tylko wódkę. Dość szybko zespół staje się całkiem rozluźniony. Następuje apogeum czułości, pleć traci znaczenie. Klaudii staje się zupełnie obojętne, kto ją dzisiaj przytuli.



Na mojej twarzy sceniczny makijaż, ciężki i ohydny. Odstrasza. Siedzę sama przy stoliku. Naprzeciwko szklaneczka brandy. Sączę i obserwuję. Najmłodszy z zespołu, tegoroczny absolwent, osuwa się z krzesła aż dudni. Głuchy dźwięk, tępy i pusty. Tłucze okulary. Przewiduję, że ktoś mu je schowa. Schował. Stojąc na czworaka, młody aktor, z wąską skalą talentu, całuje buty najmłodszej z aktorek. W sztuce gra tę scenę kłęcząc. Zdaje mu się, że nadal gra, traci poczucie miejsca, czasu i fason. Obnaża fetysz. Dyrektor siedzi obok reżysera, co chwilę dotyka jego ramienia, tryskając radością nastolatków. Jeden z aktorów, ten z włosami rozwichrzonymi jak na wietrze, co stale powtarza, że urodził się, aby występować w sztukach Shakespeare'a, siada przy pianinie, próbuje grać *Nokturn cis-moll* Chopina i coś tam jeszcze. Nastroj wnętrza wypełnia tandetna melancholia. Cichną rozmowy. Jest duszno. Coraz duszniej. Zrobiło się mdło. Znow upijam się na smutno. Teraz słyszę jazz.

\*

Dziś robię indyka w warzywach. Myję paprykę i pieczarki. Coś brzęczy między szybą a żaluzją. Włączam radio. Zagłuszam brzęczenie. Audycja o zmianach klimatycznych. Cóż mnie to obchodzi? Jak będzie wszędzie pustynia, to już mnie nie będzie. W rzekach mało wody, ryby zdychają. I tak nie lubię ryb, nie znoszę ich zapachu. Psują się zaraz po wyciągnięciu z wody. Co by się stało, gdyby nagle wyparowały rzeki, jeziora, morza i oceany? Ale by śmierdziało! Gorzej niż w toalecie na ruskim dworcu. Radio podaje, że jakaś polska tenisistka przegrała podczas turnieju w Australii. Dziennikarz ubolewa. Co mnie to obchodzi?!

Mniej zarobi! Czy ona przejmuję się moimi porażkami? Czy choć raz zadzwoniła do mnie i zapytała, jak wypadła premiera w teatrze? Nigdy! Wylączam radio. Za żaluzją nadal brzęczy. Przyglądam się, i co widzę – na szybie czarne kropki. O, ty paskudo! Biorę ścierkę – tym razem będzie szybciej, i tak planowałam umyć okno.

\*

Jesień. Panoszy się na dobre, ale zmrok też robi swoje. Odprawia nudne obrzędy z czerwonym zachodem na skraju miasta. W telewizji po raz nie wiem który wyświetlają *Bodyguarda*. Czy za każdym razem muszą puszczać tę samą wersję? Może kiedyś widz będzie sam wybierać zakończenie, w zależności od nastroju – raz uśmierci ochroniarza, innym razem piosenkarkę, albo uśmierci wszystkich. Na razie powtarzalna edycja. Strata czasu. Zaczynam się nudzić. Pilotem przywracam w pokoju ciszę.

\*

Dzień wolny od teatru. Rano dzwoni moja siostra. Pojechałam. Wchodzimy do kuchni. Siostra zamyka drzwi. W jej oczach zaległy płacz. Mąż, zmęczony alkoholem, śpi na poddaszu. Siostra pokazuje sińce na twarzy, plecach, właściwie wszędzie. W pierwszym odruchu chcę chwycić za nóż, który leży na stole, pójść na górę i wpakować mu prosto w serce. Pewnie wypłynęłaby z niego czarna krew. Zaciskam wargi. Ileż to razy się zdarzyło? – pytam siostrę; sama próbuję policzyć. Za każdym razem siostra płacze i nie wynosi tego z domu. Jej

powtarzalna ustępliwość uwalnia agresję męża. Odprowadzam dwie córki siostry do przedszkola. Trzymam za ciepłe rączki. Mają smutne oczy. Oczy dziecięcej rozpaczy. Boli. Zmuszam siostrę, aby pojechała na obdukcję. Opiera się, ubieram ją i zaciągam do samochodu. Nad ulicą niebo zasłonięte chmurami. Otwieram drzwi gabinetu w zakładzie medycyny sądowej, zostaję na ponurym korytarzu ze ścianami szarymi od brudu, w półmroku oddalonym od dziennego światła. Na ławce pod ścianą siedzą dwie kobiety w czerni, jakiś niedomyty małolat w dresach z bandażem na głowie i dziadek z podrapaną, metaliczną twarzą jakby ktoś przeciągnął go po betonie. Ten ostatni wodzi matowym wzrokiem po posadzce. Wygląda jak wyjęty z kostnicy. Równie dobrze mógł leżeć na łóżku z kółkami, a na dużym palcu prawej stopy mieć założoną karteczkę na sznurku – małą karteczkę po obszernym życiu, jakiegokolwiek ono nie było – ważne lub żadne, zbędne czy pisane ołówkiem. Czekam, aż siostra wyjdzie z gabinetu. Tylko raz przechodzę korytarzem tam i z powrotem. Twarda posadzka mierzy odgłosem moje kroki. Przy ostatnich drzwiach odór toalety z chlorem. Siostra wychodzi po godzinie. Przytulam ją i mówię, że od dzisiaj wszystko będzie inaczej, choć sama jeszcze w to nie wierzę. Moja wiara we wszystko ma krótką perspektywę, szybko powstaje i równie szybko gaśnie. Ten stan towarzyszy mi od późnego dzieciństwa, od kiedy mój ojciec obiecał, że nie zostawi nas, a zostawił. Jedziemy na komisariat policji. Dzielnicowy wystukuje dwoma palcami protokół na klawiaturze. Siedzimy na zdezelowanych krzesłach, pod nami wykładzina z tłustymi plamami. Na ścianie krzywo zawieszona reprodukcja akwareli bez ramy, obok kalendarz producenta

kostki brukowej. Dzielnicy popija zimną herbatę ze szklanki z łyżeczką, która wciska się w jego policzek. I oto kończy dziobanie. Drukuje biały arkusz. Papier odbija blask migającej jarzeniówki. Dzielnicy obiecuje interwencję. Jego słowa obnażają ubóstwo w myśleniu. Żąda od swojej inteligencji zbyt wiele.

\*

Późne popołudnie. Teraz mogę spokojnie wypić filiżankę sypanej kawy. Teraz nic nie muszę. Nastawiam płytę: *V Symfonia* Mahlera, wybieram część czwartą. To za sprawą Zagajewskiego – napisał o kompozytorze w swojej ostatniej książce. Zalegam w fotelu. Muzyka snuje się po pokoju, zmieniając wymiar mojego czasu. Jego zamęt rozprasza dźwięki z płyty. Za oknem na parapecie siedzi kot z ulicy. Może ten sam. Miauczy. Ulegam. Ociera się o mnie i wskakuje na grzejnik. Obserwuje jak kładę się na sofie. Zeskakuje z grzejnika, mo-

ści się, otwiera moją dłoń do głaskania. Przyjmuję zaproszenie.

Już rano. Podnoszę powieki po ciężkim śnie, a raczej koszmarze. Przyszedł do mnie ojciec, całkiem siwy i kościsty. Miał czerwone oczy, z których wyciekała krew, zastygała na policzkach i kruszyła się jak piaskowiec, zamieniając w popiół. Chciał mi coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć choćby jednego słowa. Za ojcem stała przezroczysta postać z ledwie widocznymi konturami. Obraz ten trwał nie wiem jak długo, a potem nagle znikł. Męczy mnie jego regularność. Był wczoraj, przedwczoraj. Później śniłam o starym domu na pustkowiu. Okopcone ściany jak po pożarze. Fetor spalenizny. Z trudem oddychałam. Miałam coraz płytszy oddech. Prawie zaczęłam się dusić. Próbowalam uciec, jednak drzwi były zamknięte od zewnątrz, a okna zabite deskami. Przyzwyczaiłam się, że moim chaotycznym snom brakowało spójności, nie miały sensownego zakończenia, nie wskazywały żadnej drogi, były zupełnie oderwane od rzeczywistości. Wchła-

niały mnie bardziej w ciemność niż jasność. Postrzępione fabuły jak bazgroły w słabym scenariuszu. Przedzierałam się przez te mary, pragnąc jak najszybszego zakończenia. Po krótkim czasie od rozbudzenia się, skazywałam je na zapomnienie. Na nic się zdało czytanie książek o snach, skłaniających do prowadzenia notatek, dzienników i przekonyjących, że dzięki temu można być bardziej poukładanym. Pisarze śnią, aby mieć więcej pomysłów, a ja nie potrzebuję zmyślonych światów. Mój przynajmniej nie wymaga tłumaczenia. Sen, do cholery, ma odprężyć, a nie zajmować umysł i w nim śmiecić.

Wysuwam prawą nogę z ciepłej pościeli. Przecieram dłońmi twarz na przebudzenie receptorów – działają. Czuję zapach ciepłej sierści. Zapewne przyszedł do sypialni dobrze po północy, wcześniej się tłukłam przed zaśnięciem chyba ponad dwie godziny, a sen zwlekał z nadejściem. W nocnej ciemności kot szukał ciepła. Znalazł. I mnie było potrzebne.



WOJCIECH KARPIŃSKI

– urodził się na Podlasiu, gdzie mieszka, z wykształcenia prawnik i administratywi-  
sta. Autor książek oraz artykułów poświęconych problematyce prawnej. Zadebiutował książką poetycką *Drugi brzeg*. O jego drugim tomiku *Lubię gdy ramiona drzew zasypiają* Wadim Brodski, światowej sławy skrzypek, napisał: „Między strofami poezji Wojciecha Karpińskiego słychać piękną, subtelną muzykę”. W 2018 roku ukazał się

jego tomik *Za progiem wyobraźni*. Autor ma na swoim koncie publikacje w „Angorze”, „Kurierze Porannym”, miesięczniku „Akant”, liczne spotkania autorskie i wywiady. Jego książka *W ogrodach snów* była prezentowana na antenie Polskiego Radia Białostok w interpretacji Ryszarda Dolińskiego. O sobie mówi, że z czasów dostępnych najbardziej interesuje go przyszły.

fot. Justyna Sawczuk